

## JÓZEF PRUBANT

---

Kpr. Józef Prubant, ur. 19 marca 1914 r., masarz, kawaler.

---

Zostałem aresztowany 8 grudnia 1939 r. w Równem, skąd po trzech miesiącach zostałem wywieziony do więzienia w Kijowie. Tam czułem się znacznie lepiej, ponieważ w Równem zostawiłem towarzystwo, przy którym nie można było nic powiedzieć na Sowieców, bo po kilku minutach już ciągnie cię NKWD i dają w skórę za agitację.

Przykro było bardzo, bo nie mogłem pogodzić się z tym, że byle pasożyt polski stawiał zawsze kontrę na słowa Polaków, a mówił odwrotnie, chociaż tak nie było. Najczęściej trzeba było zamilczeć. W Kijowie natomiast zostałem przydzielony do celi, gdzie było dużo Polaków – inteligencji – między którymi znajdował się hr. Zaleski, który opowiadał nam bardzo dużo miłych i pouczających historii ze swych przeżyć w Polsce czy za granicą. Był inż. Jarmulski, staruszek sześćdziesięciokilkuletni, który rozweselał wszystkich swymi dowcipami aż do śmiechu, chociaż z głodu i śmiać się nie chciało. No i sędzia Czerniak, który poza wykładami z prawa wciąż kłócił się z obsługą więzienia o dodatek odwaru z ryby. Pod względem jedzenia było bardzo źle, ale dnię całe spędzaliśmy na miłych pogadankach i tak zapominało się o głodzie.

W nocy, gdy wszyscy ułożyli się do snu, zgrzytał klucz w zamku i wywołują na bukwu taką czy inną. Gdy taki wywołany po kilku godzinach przyszedł z powrotem, to albo doszedł do swego posłania, albo trzeba było go prowadzić. Dostał niejeden solidną porcję. Ja dostałem od Ukraińca, którego prosiłem o zapałkę. Położyłem się zбитy na pryczy, a po kilku godzinach, gdy zawołali mnie na śledztwo, to musieli nieść, bo sam nie dałem rady iść. Wtenczas już palić i jeść się odechciało. U śledczego straszili: 30 lat dostaniesz, 20 lat dostaniesz, a gdy i tego nie chciałem się bać, zmierzył mi plecy nahajką i powiedział: „No, ty taki nie taki, sam *podochniesz*”.

I tak było, z dnia na dzień siły opuszczały mnie, ale na duchu nie podupadałem. Po trzech i pół miesiącu pobytu w Kijowie wezwali mnie i odczytali wyrok: trzy lata. Po przyjęciu tego do wiadomości prosiłem tylko Boga, aby wysłali mnie gdzieś bliżej granicy. Tak się i stało.

Załadowali nas w wagony i wiozła w głąb Rosji. Po drodze karmiła nas soloną rybą i 30 dag chleba; takie było wyżywienie codzienne. Po solonej rybie ludzie konali z pragnienia, a wody nam nie dawali. Ludzie, rozgoryczeni, przemawiali się między sobą, aby rozładować nerwy. Tak dojechaliśmy na Płw. Kolski, do Kandałakszy. W drodze obdarli nas z ubrania i teraz po przyjeździe do Kandałakszy wyganiają bosych, nagich i głodnych do pracy. Oczywiście, dużo się opierało, ale ruscy tzw. żulicy bili pałkami bez litości i wyrzucali za bramę.

Tak przechodziły tygodnie i miesiące. Praca była bardzo ciężka, kopało się przeważnie doły na słupy do parkanów czy też na fundamenty. A tu teren skalisty, bez łoma, kilofa i kowadła nic nie zrobiło się, a jeszcze mróz.

Kto fizycznie kiedyś pracował, to troszkę mu było lżej, ale studenci i pracownicy umysłowi wykańczali się, co dzień kilku. W brygadzie, w której ja byłem, zmarło dwóch Ukraińców i student z ręki prawa, Stefan Kowalczyk z Warszawy, który przez cały czas dostawał 30 dag chleba i kilka łyżek zupy na obiad. Dopomagałem mu nieraz, ale byłem często przegrany, gdy on poszedł po obiad i dla mnie, wziął obie porcje i drugi raz idzie ze sklejonym już talonem, wtenczas spada mu chochla na głowę, zabierają talon i wylewają jedzenie. I znów jesteśmy głodni.

Pewnego razu pojechaliśmy na przystań nad M. Białym przeładowywać materiał budowlany z okrętu na samochody. Gdy wchodziłem na wóz, jedną nogę miałem przełożoną przez burtę, kolega w tym momencie odpina ją, a ona swoim ciężarem rzuca mnie o ziemię. Upadłem na głowę i lewą łopatkę. Straciłem przytomność. Koledzy odnieśli mnie na stronę. Po kilkunastu minutach, gdy odzyskałem przytomność, poczułem, że złamałem obojczyk. Kiedy przyszedł sanitariusz, uznał mnie za symulanta. Po przyjeździe do obozu (łagru) poszedłem do lekarza, który znów mi mówi, że to nic strasznego. Ze łzami w oczach wyszedłem i proszę Boga, abyśmy się kiedyś zobaczyli. Cóż z tego, z dnia na dzień jest mi gorzej. Idę drugi raz, lekarz to samo, idę trzeci raz, a on pisze w książce: symulant.

Nie mam zemsty dla tego człowieka! Po miesiącu mojej męczarni przychodzę do niego i pokazuję mu lewe ramię. On woła lekarza jednego i drugiego, pyta się, co to za kość wystaje.

Oni stwierdzają, że niedawno było złamanie. Ten mówi: „No dobrze, ale teraz nie boli?”. Ja odpowiadam, że nie – „To możesz odejść do pracy”. Jeszcze raz złożyłem mu w myśli życzenia i poszedłem. Był to dr Sznajder.

Drugi raz zostałem uderzony przez *wachciora* 7 marca 1942 r. [sic!], kiedy to pisać nie mogłem zębów zacisnąć, boli szczęką, a doktor wtenczas uznał „nic strasznego”. Przejdzie, od tego nikt nie umarł. I tak było aż do dnia ogłoszenia amnestii.

We wrześniu, kiedy nas zwolnili z łagrów, zaczęliśmy pracować w kołchozach. Znowu zmarło dwóch – jeden z nich był synem dr. Szypera z Warszawy – a reszta tylko co trzymała się przy życiu. W kołchozach dawali nam 40 dag prosa na dzień i absolutnie nic więcej. Pytaliśmy się jeden drugiego, czy kiedykolwiek dowiemy się, jaki smak ma chleb.

Gdy zaczęli werbować do polskiej armii, szedłem, chociaż na pół umarły. Dwa kilometry szedłem od godz. 3.00 [?] do 16.00. Takie miałem zdrowie, gdy wstąpiłem do wojska.

7 marca 1943 r.